

Herstoria żywa, nie tylko jedna, nie zawsze prawdziwa

Lucyna Marzec



Puryści językowi i oddani idei prawdy etymolodzy mogą wpaść w furię, słysząc ten termin: **herstoria**. Święte oburzenie jest po części uzasadnione, pod względem językowym „herstoria” ma się do „historii” jak „feminoteka” do „biblioteki”, stanowi sztuczny twór o fałszywej etymologii, fantazję słowotwórczą, która ma jednak czelność bronić się w inteligentny, przemyślny i nie pozbawiony humoru sposób.

Autorki tego terminu nie przywołam z imienia i nazwiska, ale jest pewne, że od ponad 20 lat słowo herstory funkcjonuje jako rozpoznawalna, teraz utarta już formuła żargonu naukowego i języka popularnych publikacji anglojęzycznych, chociaż nadal niesie ze sobą spory ładunek emocji, ukryty nie tyle w samym rdzeniu tego wyrazu, ile w celnych skojarzeniach oraz szerokim zakresie znaczeniowym słowa „historia”.

His story

W języku angielskim i większości języków europejskich, wyraz „historia” brzmi podobnie jak w polskim (history, historie, *история*), jako że wywodzi się z greckiego *ιστορία*, i obfituje wielością znaczeń. Historia to zarówno przeszłe dzieje, jak i opowieść o tych dziejach, a w języku potocznym oznacza po prostu opowieść, historyjkę, narrację na jakiś temat. Jeszcze większą paletą znaczeń mieni się angielskie słowo *story*: może oznaczać opowieść (historię), fabułę, a także bajkę, zeznanie (czyjaś wersja wydarzeń przedstawianą np. w sądzie), czasem *story* tłumaczy się po prostu jako „książka”. *His* zaś to zaimek dzierżawczy, który przekładamy na polski jako „jego”. Zapominając na chwilę o dziedzictwie Herodota i greckich źródłach terminu *history*, możemy przyjąć, że *history* to prostu „jego opowieść”, jego wersja wydarzeń, jego historia, jego... bajka. Jakiego „jego”? Oczywiście, mężczyzny.

Radosna gra językowa obnaża gorzką prawdę. Historię tworzyli mężczyźni, historię mężczyźni spisywali. Na przykład Gall Anonim czy Wincenty Kadłubek w swych „Kronikach polskich” opisywali wybrane, ich zdaniem najważniejsze, wydarzenia bieżące z zakresu polityki, gospodarki, życia kościelnego oraz barwnie i z artyzmem opowiadali o pradawnych dziejach kraju Słowian. Interesowali ich przede wszystkim władcy i ich praktyki wojenne, stosunkowo niewiele wyczytamy o życiu, działalności czy aktywności twórczej kobiet: żon i córek królów, królowych, możnowładczyń, przeorysz zakonów, o bogatych mieszczankach nie wspominając. Zagłębiając się w przeszłe dzieje czy nawet studiując historię, trudno nie dojść do wniosku, że życie od wieków toczyło się wokół mężczyzn, polityki międzynarodowej, opierającej się na konfliktach władzy świeckiej z kościelną i ścierających +

się interesach państw ościennych, które to zawsze prowadziły do kolejnych wojen... Ewentualnie co pewien czas znaczenie dla dziejów ludzkości miało jakieś odkrycie: geograficzne, naukowe czy techniczne, które poszerzało tereny walk bądź usprawniało komunikację i metody wojenne. Właśnie na przekonaniu, że w historii powszechnej brakuje równoległego zdania relacji o życiu kobiet, dzieci i wszystkich innych, którzy z jakichś powodów zostali pominięci, zmarginalizowani i zapomniani, oraz na twierdzeniu o absolutnym niedocenieniu odkryć naukowych czy rozwiązań technicznych, rewolucjonizujących życie codzienne, opiera się zamysł wydobycia z neutralnej historii – his story, jego opowieści, jego historii.

Można śmiało uznać takie przekonanie za kobietocentryczne (ginocentryczne) i feministyczne zarazem. Jest wyrazem krytycznego myślenia i dociekliwego oraz skrupulatnego odczytania różnorodnych tekstów kultury: od dziejopisarstwa po podręczniki szkolne i powszechne encyklopedie, oraz wiąże się ściśle z przemianami w humanistyce i naukach społecznych drugiej połowy XX wieku, jakkolwiek źródeł nowych ujęć historiografii można szukać w przedwojennej Francji i kręgu uczonych skupionych wokół pisma „Annales”. Tutaj najpierw zauważono, że po pierwsze, historię piszą zwyczajcy, a po drugie, nikogo dotąd nie obchodziła tak zwana prywatna historia ludzkości, przez co nasza wiedza na temat przeszłości jest w dwojaki sposób okrojona, niepełna i sprofilowana. Późniejsza myśl filozoficzna, antropologia, kulturoznawstwo, nauka o literaturze i sztuce dopomogły w rozkwicie rewindykacyjnej i krytycznej historiografii, która przestała chęć się przekazem wiedzy ogólnej, bezstronnej i rzetelnej zarazem. A XX-wieczna krytyka feministyczna, siostra teorii i historii, jest rówieśniczką hermeneutyk podej-

zeń, psychoanalizy i dekonstrukcji, wraz z nimi się rozwijała i przeobrażała, nic więc dziwnego, że w pewnym momencie zaczęła pytać o status i miejsce kobiet w nowych dyskursach o świecie, człowieku i jego przeszłości. Stąd ironiczne przekształcenie historii w his-story i postulat przejrzenia starych paradygmatów pisania o przeszłości (i teraźniejszości) oraz rewizji kanonu. Stąd też pojawienie się herstorii, jej opowieści: wizji takiej narracji o dawnych dziejach, w której ważkim punktem odniesienia, jeżeli nie centrum, będą kobiety i ich sprawy.

Barierzy

Trudno przetłumaczyć herstory na język polski, tak by wydobyc wielość skojarzeń i znaczeń porównywalną do wersji angielskiej. Może warto mówić i pisać o herstorii, nieco spolszczając termin i odwołując się do znajomości języka angielskiego (na poziomie podstawowym). Co prawda, kiedyś Kinga Dunin zaproponowała termin jejlandia, uwypuklając przestrzenno-zagarniający aspekt pisania o przeszłości, ale pomysłu się nie przyjął. Jejlandia przypomina ważną i kluczową dla współczesnej krytyki feministycznej wizję własnego pokoju Virginii Woolf. W słynnym eseju z 1928 roku pisarka dowodziła, że bez własnego pokoju, prawa do prywatności oraz własnych środków finansowych kobieta nie jest w stanie rozwijać się twórczo i kształcić. Bez własnej przestrzeni symbolicznej – przestrzeni w kulturze, jaką budować mogłyby opowieści o dzielnych, mądrych, genialnych, aktywnych, wykształconych kobietach: artystkach, pisarkach, wykładowczyniach, menedżerkach i kobietach pracujących w domach oraz wychowujących dzieci – trudno funkcjonować, trudno rozwijać swoje umiejętności i dumnie się odwoływać do zdobyczy poprzednich generacji.

Wyobraźmy sobie muzyka, który po raz pierwszy w historii gra na harfie. Wcześniej na harfie grać mogły tylko kobiety: miały drobniejsze palce, były z natury delikatniejsze, wrażliwsze, na dodatek cieszyły oko słuchaczy. Jak czuje się ów muzyk? Wie, że jego palce są grubsze od palców koleżanek ze szkoły muzycznej, więc pewnie kilka razy pomyli struny, pociągnie zbyt mocno, przez co jego wykonanie uznane będzie za agresywne i nieharmonijne... Poza tym wszyscy będą na niego patrzeć jak na jakieś dziwadło. Ale pomyślmy o tym samym muzyku w nieco odmiennej sytuacji: gra po raz pierwszy na harfie, owszem, ale w swoim kraju. Wie doskonale z dwóch encyklopedii, dopiero co przetłumaczonych na jego język, oraz z trzech podręczników, które przeczytał na stypendium za granicą, że w innych częściach świata na harfie grywają przede wszystkim mężczyźni, a niegdyś, jakieś 5 tysięcy lat temu, harfa była świętym instrumentem kojarzonym z męskim bogiem-władcą wszechświata, płodnym i mądrym, i w dodatku wrażliwym na muzykę sfer. Mając w pamięci całą tę wiedzę – wiedzę dotyczącą innej teraźniejszości i innej przeszłości – jest w stanie pokonać barierę wstydu oraz tremy i wprawić słuchaczy w zachwyt. Po lekturze pozytywnej recenzji tego występu inny mężczyzna, który zawsze marzył, by grać na harfie, a nie, jak mu przykazano, na kontrabasie, zaczyna realizować swoje pragnienia. Po 100 latach, przełamując pewne stereotypy, jakiś inny mężczyzna po raz pierwszy gra na harfie w filharmonii państwowej...

Na tym właśnie polega moc pisarstwa o przeszłości: potrafi zarówno przestrzec przed pewnym działaniem, jak i dodać sił, odwagi i pomóc w trudnych chwilach. Dlatego właśnie heristoria jest tak bardzo kobietom potrzebna. Poczucie kontynuacji, nawet jeśli będzie związane z podważeniem ustaleń i sposobów dzia-

łań przeszłych pokoleń, jest niezwykle ważne dla poczucia celowości własnych działań. Wiedza o przeszłości pozwala zmieniać teraźniejszość i inaczej patrzeć w przyszłość. Heristoria to nie tylko akt dopisania rozdziału o kobietach w historii powszechnej, ale przede wszystkim gest polityczny, ideowy, wyrastający z modernistycznego przekonania o możliwości emancypacji jednostki czy grupy, gest otwarcia na przeszłość i osadzenia w teraźniejszości wszystkich tych, których miejsce w historii było na marginesie. Feministki często mówią nie tylko w imieniu kobiet, ale także mniejszości etnicznych, narodowych, seksualnych, osób niepełnosprawnych i upośledzonych. Nie interesuje ich wyłącznie tylko to, co kobiece i kobietom właściwe, ale również to, co miało znaczenie w przeszłości dla odmiennego funkcjonowania kobiet i mężczyzn: jak płęć (pojmowana zazwyczaj jako płęć kulturowa, *gender*, nie tylko biologiczna) wpływała na zajmowane w strukturze społecznej miejsce, co przez to znaczyła, z jakimi wiązała się rolami i zadaniami wytyczanymi jednostce. Zapytują na przykład o to, kiedy kobiety z najwyższych sfer przestały karmić dziecko piersią i oddawały je na wychowanie mamkom oraz jak było to powiązane z życiem dworskim, czemu dokładnie służyło, albo o to, dlaczego mężczyźni w Europie noszą tylko spodnie i nie mogli nigdy (oficjalnie) czerpać radości z przymierzania wieczorowych sukni wyszywanych cekinami.

Ale historia est magistra vitae i wszystko nam komplikuje: rozpala ogień w kominku listami matki do córki, burzy świątynie bogini Kottys, podpisuje pewne książki męskimi nazwiskami, pozwala kurzowi zakryć cenny z naszego punktu widzenia manuskrypt... Badanie przeszłości kobiet jest zadaniem trudnym i wymagającym wiele cierpliwości oraz wiary w sukces. Sporo na ten temat napisała osoba, która +

niemal całe życie spędziła, analizując prywatne archiwa i spisując dzieje kobiet – francuska historyczka, wielka naukowczyni, Michelle Perrot. W niedawno przetłumaczonej na język polski książce „Moja historia kobiet” pisze ona o 3 czynnikach utrudniających uprawianie herstorii (choć sama tego terminu nie używa): pierwszym jest tradycja, która wartościując wysoko działania w przestrzeni publicznej, a więc aktywności mężczyzn, nie poświęca wiele uwagi związanym ze sferą prywatną kobietom. Drugim czynnikiem jest milczenie źródeł (tekstów samych kobiet). Trzecim zaś milczenie relacji: w tych kobiety są albo pomijane, albo pisze się o nich, powielając stereotypy czy wyrażając sporą niechęć. Trzeba dodać, że za milczeniem źródeł często stoi nieobecność, za milczeniem relacji – niechęć. A za tradycją milczenia i nieobecności kobiet niektórzy nadal opowiadają się pozytywnie.

Jej opowieści

Herstoria, zwłaszcza ta inspirowana najnowszymi metodologiami nauk humanistycznych, jest często opowieścią o nieobecności i milczeniu kobiet: tworzą ją wykładowczynie akademickie z tytułami naukowymi, a ich praca ma charakter badawczy. Jedną z najpiękniej napisanych takich książek w języku polskim jest publikacja Grażyny Kubicy pod tytułem „Siostry Malinowskiego, czyli kobiety nowoczesne na początku XX wieku”. Jest to opowieść o poszukiwaniach źródeł wiedzy i języka dla opisu życia i twórczości 11 uzdolnionych, wykształconych i zupełnie zapomnianych kobiet, na których nazwiska natkniemy się, czytając „Dziennik” Bronisława Malinowskiego. Ale kobiety nauki z oczywistych względów nie mogą dopisać do podręczników siostr Szekspira czy Newtona, jeśli takie nie istniały. Dłate-

go wizja herstorii stała się atrakcyjna nie tylko dla badaczek, lecz także, a może przede wszystkim, dla... pisarek. W Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii od końca lat 60. XX wieku powstało tysiące książek beletrystycznych, które śmiało można zaliczyć w poczet powieści herstorycznych. Czy to oznacza, że wcześniej kobiety nie pisały powieści historycznych o kobietach? Oczywiście, że nie.

Jedną z pierwszych książek problematyzujących temat historyczki – która odnajduje dziennik kobiety sprzed kilku wieków i nie wie, jak sobie z takim dokumentem poradzić – jest powieść wspomnianej już Virginii Woolf, nieopublikowana za życia pisarki i do tej pory nieprzetłumaczona na język polski, „Journal of Mistress Joan Martyn” (pisana w 1906 roku). Pracująca w archiwum Rosamund Meridew przypadkowo odnajduje dziennik XV-wiecznej damy-gospodyni, pani Joan Martyn, i chociaż, będąc prekursorką herstorii, pragnie dowiedzieć się jak najwięcej o życiu Joan, ponosi fiasko. Pani Martyn nie pisze w dzienniku o sobie i swojej rodzinie, interesuje ją rodzina męża, a zwłaszcza linia po mieczu – upamiętniona na portretach wiszących na ścianach posiadłości, własności bogatych mężczyzn. Virginia Woolf ukazuje tym samym, że w XV wieku wyjście za mąż oznaczało zapomnienie o swojej rodzinie i poświęcenie się pracy w domu męża, oraz wskazuje na dysproporcje między własnością mężczyzn i kobiet – podczas gdy do pana Martyna należy majątek jego ojców i pradziadów, który ma szansę przetrwać wieki, to pani Martyn jest właścicielką jedynie nietrwałego zeszytu. Sam fakt, że odnalazła go po wiekach Rosamund, jest zadziwiający, ale przy tym się okazuje, że dziennik Joan Martyn nie mówi współczesnej historyczce wiele o przeszłości. Nie wyszuka w nim odniesień do „ważnych wydarzeń historycznych”, nie pozna nawet „klimatu epoki”. Żeby coś na temat życia Joan

Martyn napisać, Rosamund musi posłużyć się metodami narracji i konwencjami wytoczonymi przez pisma historyczne jej poprzedników, a przez to zaczyna konfabulować. Z jednej strony, Woolf uwrażliwia w ten sposób na podobieństwo, jeśli nie na tożsamość, kreacji świata w beletrystyce i historiografii (wątek niezwykle istotny dla metodyki historii od lat 70. XX wieku). Z drugiej, wskazuje, że fantazjowanie o przeszłości, wymyślanie jej alternatywnej wersji przy ciągłej świadomości, że to fikcja, a nie historyczna prawda, jest jednym ze sposobów rozwiązania problemu milczenia źródeł i relacji na temat kobiet.

Można powiedzieć, że Virginia Woolf była pierwszą pisarką, która ukazała relatywność i wieloznaczność pisarstwa historycznego, a przy tym wskazała na życie prywatne, domowe i sprawy kobiece jako najważniejszą z luk historii. Natomiast i przed Virginią Woolf powstawały książki historyczne o kobietach oraz powieści z akcją osadzoną w przeszłości, a dotyczące kobiet – pisane zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety. Ponieważ historię interesuje raczej głos kobiet mówiących o sobie, o XIX-wiecznych popularnych biografiach wybranych władczyń, „wielkich kurtyzan”, nałożnic królów czy wpływających tragicznie na los kraju cudzoziemskich żon władców nie będę wspominać – wiadomo, że takie powstawały w całej Europie i wzmacniały negatywne uczucia żywione do takich postaci, jak: Rycheza, Bona Sforza, Maria Kazimiera (w Polsce), Maria Antonina (we Francji), Elżbieta II i Maria Stuart (zamiennie i w zależności od panujących rządów oraz nastrojów społecznych – w Wielkiej Brytanii). Znacznie bowiem ciekawsze są powieści autorstwa kobiet, które akcję osadzają w przeszłości, ale nie mają na celu taniej rozrywki, tylko pragną przekazać jakąś swoją prawdę i rację.

Emocje

Doskonałym przykładem jest twórczość Anny Mostowskiej, między innymi „Astolda” (1807) – pierwsza w języku polskim powieść historyczna w ogóle, zazwyczaj określana jako próba powieści historycznej czy też pseudoromans historyczny, który opowiada nieszczęśliwą w skutkach miłosną przygodę na tle XVI-wiecznej Litwy. Znamienny jest sam wstęp do powieści: autorka zarzeka się, że jako niewykształcona kobieta nie była w stanie napisać „prawdziwej” powieści; może napisać co prawda pierwszą po polsku i nowoczesną, ale tylko powieść wybrakowaną, niepełną. Tak wyartykułowane ambiwalentne podejście do własnej pracy twórczej i swych zdolności jest typowe dla pisarek XVIII i XIX wieku: przepraszają, że w ogóle zdecydowały się wkroczyć w przestrzeń męskich działań, i proszą o wyrozumiałość dla popełnianych odstępstw od uznanych tam reguł – świadome, że nie powtórzą ich dokładnie, bo nigdy nie zostały ich nauczone. Z drugiej strony, decydują się wydać powieść pod własnym nazwiskiem, przekonane, że znajdą swoje czytelniczki i czytelników, że ich dzieło jest wartościowe, a praca nie poszła na marne. Mają świadomość swojego talentu i własnych ograniczeń, a także ograniczeń społecznych (kulturowych). Lektura takich wstępów może obecnie przytłoczyć i zasmuć – uzdolniona i pomysłowa Mostowska nie mogła po prostu napisać „ogłaszam swoje kolejne dzieło, nigdy takiego gatunku powieści nie czytaliście, ale nie boję się głosów krytyki”. Anna Mostowska jednak się bała – wycierpiała sporo w życiu przez złośliwość mężczyzn, nieakceptujących kobiety literatki, dzięki której polska publiczność dowiedziała się, czym jest gotycyzm i pisanie powieści o przeszłości. Żartowano na temat jej skłonności do zjawisk niesamowitych i duchów, ale gdy wczytamy się obecnie w jej prace, okazuje się, że reprezentowała +

sceptyczne podejście do spraw nadprzyrodzonych. „Strach w Zameczku” jest opowieścią o sfingowanym duchu, i aranżacji na niesamowite, dokonanej przez współpracujące ze sobą kobiety (na dodatek przełamujące barierę klasy społecznej) w celu wykazania, że nie tylko kobiety dają się nabrać na straszne opowieści, ale równie podatni na upiorne historie są mężczyźni. Pisząc o mistyfikacji w konwencji gotyckiej powieści, Mostowska mówi o równości płci – równości w sferze emocji, wiary i intelektu.

Emancypacyjny charakter ma pisarstwo historyczne Marii Wicherkiewiczowej, zupełnie niesprawiedliwie zapomnianej dziś Wielkopolanki, która stała się – nie mając historycznego wykształcenia, ale za to rozległą erudycję i pasję archiwistki – prekursorką badań nad historią Poznania (zaczęła na ten temat pisać od 1914 roku). W równej mierze interesowała ją architektura, jak i mieszkańcy miasta, zwłaszcza bogaty patrycjat i mieszczaństwo. Informacje, które zbierała w archiwum miejskim, popularyzowała w prasie, a jej felietony i artykuły naukowe były potem wydawane w osobnych tomach. Interesowała ją codzienność (napisała historię poznańskich kawiarni) oraz kobiety, „córki wielkopolskiej ziemi”. Stworzyła na przykład „relację” z życia w klasztorze dominikanek i klarysek. Była świadoma historyczności ról społecznych i płciowych i często dawała temu wyraz – w „Dawnych kawiarniach w Poznaniu” (1938) precyzyjnie wskazuje na moment, kiedy kobiety po raz pierwszy wkraczają do kawiarni i na jakich mogą tam przebywać zasadach, a przy tym, nie bez ironii, podkreśla odmienne funkcje towarzyszące spotkaniom w męskich i kobiecych gronach. Oprócz artykułów prasowych, zawsze ukazujących emocjonalne zaangażowanie Marii Wicherkiewiczowej w badanie danego tematu i umiejętność empatii, czasem wręcz identyfikacji z boha-

ter(k)ami jej twórczości, napisała też kilka powieści historycznych oraz krótką powieść biograficzną o swojej babci, Matyldzie z Axmiltowskich Ziółcekiej – matce 8 dzieci, mądrej gospodyni domowej tłumaczącej poezję łacińską, hodowczyni jedwabników. Tekst o ukochanej babci kończy refleksją nad przemianami obyczajowymi, które pozwoliły na emancypację kobiet, i ubolewa, że babci nie przyszło żyć w tych lepszych dla kobiety czasach. „Łódź w purpurze” (1932) zaś to jedyna w literaturze powieść, która opowiada historię rodziny Górków, wielopolskich magnatów i uwikłanych w politykę międzynarodową protestantów, znanych obecnie raczej jako właściciele pięknego pałacu przy Starym Rynku w Poznaniu oraz bohaterowie legendy o więzionej latami „Czarnej Halszce”, właścicielce ogromnego majątku, Elżbiecie z Ostroga. I o niej pisze Wicherkiewiczowa, portretując nieszczęśliwą, ale pewną siebie i upartą kobietę, która potrafi przez 10 lat czekać upragnionej wolności od męzowskiej władzy.

Rodziny

Równoległe zainteresowanie przeszłością własnej rodziny, a zwłaszcza linii matki, i historią lokalną czy powszechną jest stałym motywem twórczości kobiet, które zdecydowały się pisać prozę historyczną. Jadwiga Żylińska w tym samym czasie zarówno budowała opowieści o życiu kobiet na dworach w średniowiecznej Europie, jak i wspominała zwyczaje swojej babci oraz ulubione powiedzonko nieżyjącej matki, a gdy zmarła jej ukochana siostra, Malina Michalska, często wypowiadała się na jej temat. Przypadek tej pisarki jest niezmiernie ciekawy: w czasach PRL-u stworzyła własną odmianę gatunkową feministycznej powieści historycznej, w okresie powojennym jedyną

w swoim rodzaju, na tle polskiej tradycji literackiej pod wieloma względami nowatorską, odstającą od twórczości współczesnych jej Pawła Jasienicy, Antoniego Gołubiewa czy Teodora Parnickiego, a zarazem bliską powieściom historycznym autorstwa pisarek z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, związanych z tak zwaną drugą falą feminizmu (lata 60. i 70. XX wieku), o której już wspominałam. Można śmiało powiedzieć, że Jadwiga Żylińska łączy rodzimą tradycję kobiecej powieści historycznej z trendami światowymi. Pokazuje, jak blisko jest wspomnieniu, biografii i innym gatunkom intymistycznym do pisarstwa historycznego, romansu gotyckiego, melodramatu, sagi rodzinnej czy nawet hagiografii i mitografii.

Żylińska tematyzuje problem odrzucenia kobiet przez Historię. Kocimiętka, jedna z bohatererek opus magnum pisarki, 2-tomowej „Złotej włóczni”, to znaczorka i poganka, która samotnie zamieszkuje wyspę na Jeziorze Lednickim i za sprawą przypadku zaprzyjaźnia się z Rychezą, główną bohaterką powieści. Po jakimś czasie Kocimiętka okazuje się wygnaną żoną Mieszka I. Jej los – odrzucenie przez żyjących i zapomnienie przez potomnych – spotka także Rychezę, żonę Mieszka II, uznaną w większości narracji historycznych za złą Niemkę, która bezmyślnie oddała polską koronę w ręce wroga i tym samym zrujnowała polskie państwo. W powieści Żylińskiej Kocimiętka i Rycheza nie wiedzą, dlaczego tak doskonale się rozumieją i przyciągają mimo łatwo uchwytnych różnic w wieku, wykształceniu, sposobie życia. Ale pisarka sugeruje, że łączy je, prócz życiodajnej relacji babka–wnuczka (czy nawet wiedźma i jej uczennica), wspólna kondycja, kondycja kobiety uwikłanej w swój czas i kulturę, w jakiej żyje. Żylińska nieustannie stara się prze-pisać, prze-obrazić opowieści o wydarzeniach historycznych w Polsce i Europie, tak

by ukazać znaczący udział kobiet. Na przykład Rycheza wprowadza zmiany administracyjne i nominalne na zamku w Gnieźnie, bywa doradczynią swego teścia, Bolesława Chrobrego, a jej listy, pisane do braci, wujów i kuzynów, dotyczące spraw polityki między jej własnym i męzkowskim rodem, przynoszą niejednokrotnie pozytywne dla Polski skutki. Rycheza ukazana jest nie tylko jako partnerka rozmów Bolesława Chrobrego, ale także wykształcona i wrażliwa kobieta, której nagle przychodzi żyć w „dzikim” kraju, i to żyć z mężczyzną, od którego oczekuje wszystkiego prócz tego, co on jej daje. Oddanie korony Bezprymowi tłumaczy Żylińska jako gest zdradzonej, samotnej i nieszczęśliwej kobiety, a nie bezdusznej oszustki.

Żylińska często poprawiała „błędy” stronniczych kronikarzy, jak w przypadku opowiadania o Marii Zycie Rozamundzie, niemieckiej księżniczce, która przez kilkanaście lat włądała skromnym księstwem, a nie zachowało się o niej żadne dobre słowo kronikarzy. Miała do tego prawo – nie tylko jako pisarka, ale także niezwykle wykształcona osoba. Na Uniwersytecie Poznańskim ukończyła filologię angielską, poza tym płynnie mówiła i czytała w języku niemieckim, francuskim, znała łacinę i grekę. Była niezwykle odcytana, a wszelkie zdobycze technologii, archeologiczne odkrycia oraz doniesienia gwałtownie rozwijających się po wojnie dziedzin wiedzy (psychologii, biologii, geologii) włączała w swój dyskurs – jej teksty mówiły wiele nie tylko o nieznanym czy zamazanym kartach przeszłości, ale także o czasach, w których dane jej było żyć. A czuła się Żylińska w powojennej Polsce nie najlepiej, jak każda intelektualistka, której nie pociągła nowa władza. Nie dała się też oszukać pozorowanej „polityce równości”, była wierna ideałom Nowej Kobiety z okresu przedwojennego, wiedziała, że „kwestii kobiet” nie da się łatwo rozwiązać. +

Jakby na marginesie tomów Jasienicy napisała Żylińska zbiór esejów „Piaśtówny i żony Piaśtów”. Opisała w nich niezwykle, czasem zaskakujące losy wszystkich wywodzących się z Gniezna kobiet, wśród których znalazła się nie tylko Gertruda-Olisawa – córka Rychezy i Mieszka Lamberta, właścicielka i być może autorka słynnego modlitewnika – czy święta Jadwiga, ale także królowa Szwecji, później Danii, Sygryda Storrada (Świętosława) i cesarzowa Hiszpanii, Ryksa. Pisarka wyraża przeświadczenie o rozbieżności pomiędzy wzorcami czy nawet stereotypami płciowymi poszczególnych okresów historycznych a doświadczeniami konkretnych jednostek, w związku z czym opisuje kobiety, które nie przystają do tradycyjnych ról, wyznaczonych przez społeczeństwa swoich czasów. Opowiada o „Amazonce” Hervör jako nieustraszonej wojownicze albo o średniowiecznej damie, która wybiera się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej nie w celach religijnych, ale by się spotkać z kochankiem, który został templariuszem. Szczególnie zaś interesowały ją kobiety, które samostanowiły o swoim życiu, a więc mniszki i zakonnice; ukazywała ich głębokie związki z polityką Kościoła oraz państwa, często ubolewając przy tym nad męskim zwierzchnictwem kobiecych klasztorów.

Osobny rozdział jej twórczości stanowi matriarchalna mitografia. Każdy, kto przeczyta „Kaplanki, amazonki, czarownice”, przekona się, że mieliśmy w historii kultury polskiej swojego Roberta Gravesa. Żylińska była przekonana, że historia powszechna oraz popularne wersje mitów są niepełne, a przede wszystkim uproszczone, skondensowane i wyselekcjonowane dla podbudowania his story. Innymi słowy, męskie wersje historii czy mitów są przepisane, dlatego należy, według pisarki, powrócić do tych właściwych, pierwotnych i matriarchalnych opowieści o świecie. Powrócić – ale

nie po to, by powtórzyć czy reaktywować kult bogini-matki, strącając przy tym chrześcijańskiego Boga i cały poczet świętych w czarną otchłań. Żylińska powtarza wielokrotnie, że to, co się stało, nigdy się już nie odstanie, a zarazem nie może się nadziwić, dlaczego tak bardzo się wstydzimy, ukrywamy czy zapisujemy, nadpisujemy znaki na innej cywilizacji i naszej, używając terminów psychoanalizy, kulturowej nieświadomości. Właśnie w ruchu między świadomością współczesną a wiedzą na temat przeszłości – szacunkiem dla tej najodleglejszej, najmniej poznanej, być może nieświadomej, i w krytycznym odczytaniu tej najbliższej, nas konstruującej – upatruje Żylińska sposobu na wspólne trwanie wielu tradycji i opowieści o świecie: monoteistycznych i politeistycznych, matriarchalnych i patriarchalnych, konserwatywnych, liberalnych i lewicowych et cetera. Bez uświadomienia prostego faktu, że w przeszłości bywało różnie – i rzadko było tak, jak jest teraz, a jeszcze rzadziej bywało tak, jak chcielibyśmy, by w przeszłości było, zwłaszcza wtedy, kiedy krytykujemy współczesne trendy oraz zachodzące na naszych oczach zmiany i pragniemy się odnieść do nieruchomej, stabilnej historii – nie będziemy rozumieć, co w rzeczywistości wokół nas się dzieje.

O tym, jak wiele kobiet lubi herstorię i jak bardzo powieść historyczna może wpłynąć na teraźniejszość, świadczy niezwykła popularność przepięknej książki napisanej w latach 70. ubiegłego wieku przez dwie kobiety, bliskie koleżanki, Joannę Konopińską i Janinę Fedorowicz: „Marianna i róże. Życie w Wielkopolsce w latach 1890–1914 z tradycji rodzinnej”. Jest to niemal wzorcowa herstoria: po pierwsze, stanowi wynik udanej współpracy dwóch kobiet (spełnia więc feministyczny postulat siostrzeństwa czy też pracy w kolektywie); po drugie, jej najważniejszą bohaterką

jest kobieta i jej sprawy, to znaczy dom, gospodarstwo, relacje z matką oraz... siedem córek i jeden syn; po trzecie, łączy historię powszechną z historią prywatną, to, co wymyślone, z tym, co prawdziwe i niepodważalne: otóż bohaterką jest prababka jednej z autorek, która pozostawiła po sobie różne zapiski, notatki, dokumenty – teraz wnikliwie przeczytane i „opracowane” jako pamiętnik Marianny. Kiedy centralnymi wydarzeniami, organizującymi jej życie, są kolejne porody oraz fazy wychowania dzieci, pielęgnacja ogrodu i domu, a także pisanie, to w tle toczą się wydarzenia i przetwarzają nazwiska oraz daty znane każdemu Wielkopolaninowi i Wielkopolance, zarówno te przynębiające, związane z postępującą germanizacją i ograniczaniem wolności Polaków, jak i radosne, bo stanowiące dowód na zaradność, spryt i patriotyzm Wielkopolan. Lektura „Marianny i róż” jest zarówno ucztą dla spragnionych herstorii i ciekawych prywatnego życia historycznych postaci oraz świetną lekcją historii lokalnej. Autorki musiały dokonać bardzo gruntownych studiów nad historią tego okresu – w książce pojawia się chyba każda polska organizacja, koło i stowarzyszenie oraz wplecione zostają biogramy ważnych dla tamtych czasów postaci. Najciekawsza jest jednak sama bohaterka, Marianna, ziemianka o dość konserwatywnych poglądach, która pisze swój pamiętnik w tajemnicy przed mężem, mogącym uznać taką praktykę za niebezpieczną, podkreślając przy tym, że pisanie nauczyła się jako dziewczynka, kiedy pomagała ojcu w pracy biurowej. Bardzo kocha i szanuje swoją matkę, Busię, która prowadzi własną hodowlę kur i zawsze służy mądrą radą. Wychowuje córki na rozsądne, praktyczne i uczciwe dziewczęta, myśląc cały czas o wydaniu ich za mąż – w taki sposób, by były szczęśliwe i czuły pełnię życia. Z niepokojem obserwuje romans swojej siostrzenicy z niejakim Cyprianem i nie rozumie, czym jest „wolna miłość” – dla Ma-

rianny stanowi ona zamkniętą drogę dla małżeństwa i szacunku społecznego, chociaż nie próbuje nikogo do swych racji przekonywać. Nie nakłania żadnej ze swych córek do wyższej edukacji, ale najmłodszej pozwala przepisywać z „Kuriera Poznańskiego” wiersze Gabrieli Zapolskiej. Z kart „Marianny i róż” wyłania się portret mądrej, statecznej kobiety, która kierowała się w życiu tak sercem, jak i rozsądkiem – odpowiadała wzorcowi praktycznej Wielkopolanki, a przy tym emanowała miłością i ciepłem. Janina Fedorowicz i Joanna Konopińska stworzyły, czy też odtworzyły, postać „typową” dla swoich czasów, zarazem nie rezygnując z ukazania odmiennych postaw ówczesnie żyjących kobiet – jedna z siostr Marianny wiodła życie gospodyni domowej, w którym nie było miejsca na pisanie dziennika i ochoty na zapisywanie swych przemyśleń, druga zaś zdecydowanie nie przystawała do wzorca rozważnej matrony. Dla niektórych zaś niewątpliwie najciekawsza będzie się wydawać historia Helci, emancypantki-pianistki. Wiadome jest, że opowieść Marianny przyciąga i uwodzi: PTTK organizuje nawet wycieczki szlakiem Marianny i Michała Jasiękich, a relacje wraz ze zdjęciami uczestniczek i uczestników (także wycieczek prywatnych, nieformalnych) można znaleźć bez trudu w Internecie. Tym samym w XXI wieku powtarzamy opisane na kartach „Marianny i róż” wycieczki po Wielkopolsce końca wieku XIX, Wielkopolsce widzianej z perspektywy kobiety. I tak właśnie herstoria wciela się w życie. ○